

**FRANCISZEK
MIRANDOLA**

GOŚCINIEC
DUSZ

Franciszek Mirandola

Gościniec dusz

«Public Domain»

Mirandola F.

Gościniec dusz / F. Mirandola — «Public Domain»,

Ciesz się klasyką! Miłego czytania!

Содержание

Конец ознакомительного фрагмента.

10

Franciszek Mirandola

Gościniec dusz

Czarne zwały fal przelewały się niespokojnie, dęły się i rozluźniały na przemian, podobne muskułom olbrzymiego ciała gorączką trawionego, podobne rytej histerią twarzy, myśli wichrem brużdżonemu czołu... na grzbietach fal biała strzępiła się piana.

Pociemniało już stare, odwieczne niebo, pustynia, kędy tyle od wieków przemieszkowało stworów dziwnych, ciągle innej postaci, ciągle pożądanym tym pełzającym po dołach bogotwórczym... tym, jako morze ustawną targanym udreką.

Noc nachodziła świat burzliwa, zdradna¹, żądna łupu, kryjąca zamachy w sobie, do złego skłonna...

Pomału, ostrożnie zstępując ze śliskich grzbietów fal w parowy płynne, migotliwe nawet w pomroce, to znów dźwigając się na wyże, nie wiadomo skąd się jawiące, po szafirowym morzu sunął wielki okręt.

Śmigłe maszty darty się w górę, wydymały się białe, na zieleni ciemnej toni żagle, skrzybiały na wietrze reje, a z pokładu zapełnionego tłumem ludzkich postaci dochodziły dźwięki poważnego hymnu o modlitewnych akordach.

Na pomoście przednim, wysoko, widoczny wszystkim innym stał kapłan w białą ubrany szatę.

Orlim wzrokiem śledził horyzont, zaś u stóp jego na marach pokrytych białym płótnem spoczywał człowiek uśpiony czy zmarły, nie wiadomo.

Wiatr powiewał szerokimi rękawami szaty kapłana, iż wydawało się, że uleci w przestworze na skrzydłach uniesienia wewnętrznego, niby przedziwny duch – albatros, pan mórz nieprzebytych...

Rytm hymnu, zda się, nie wiatr, nie podwodne prądy niepokoiły fale.

Akordy kładły się czasem, by² dłonie przyjacielskie na spiętrzonych, zadzierzystych grzywach i wtedy pod ich lekkim, a możliwym uciskiem, strzępiste, garbate grzbiety mieniły się w płaszczyznie lśniącej, podobne podstawom jedwabnych tkanin rzuconych na powietrze. Czasem znowu ton tętniący, mocny, rozpędzony wpadał, zatapiał się dziobem w toni, pruł ją, rozdzierał, głębił się³, sięgał... aż czerwona jawiła się posoka fali, a on szedł coraz dalej, dalej, aż na dno, aż gdzieś... gdzieś...

Chór śpiewał:

O Panie, o Panie!

Kędyż posłałeś nas, wichry swoje?

Kędyż na wielki bój, płyniemy oto o ciemku duchy ducha niosące, drogą przeznaczeń, niepisanych nawet w snach duszy człowieczej!

Jako oddech TWÓJ jest świat, jako tchnienie TWE jawi się życie i jako nicość jest, gdy zechcesz, a wciągniesz w głąb swoją wszystkie jawy, wszystkie znaki Bytu.

Oddechem BRAHMY jest to, co jest, a nic prócz tego w przestrzeni.

O Panie! Kędyż wysłałeś nas, tchnienia swoje?

Kędyż na wielki bój na spełnienie chwili następnej płyniemy o ciemku, duchy ducha niosące, bezmiernym gościńcem stawania się, szlakami, kędy nie stąpa nawet myśl śpiącego u stóp tronu TWEGO archanioła... Kędyż o Panie!..."

Fale szły coraz to wyżej, rozchylało się głęboko morze, jak rozdzierający szaty swe trwogą, bólem, rozpaczą, męką czekania i niepewności targany człowiek.

¹ *zdradny* (daw.) – dziś: *zdradziecki*. [przypis edytorski]

² *by* – tu: *niby, jakby*. [przypis edytorski]

³ *głębić się* – *zagłębiać się*. [przypis edytorski]

Zawył wiatr, uderzył czołem w płonący nisko ponad wodą hymn stary, zwinął się z nim, zmieszał, omotał go sobą, zwichrzył i poroztrzącał akordy niby wilk, co skowytem porazi śpiew idących lasem kompanii pobożnych o mroku.

Czyliż dalekie, czy bliskie łądy, gdzie paść ma ptak zdyszany, dusza niewcielona... czy bliskie?

Czyliż zaśnionym będzie szła światem w doły rozliczne wpadając, czyli będzie krwawe zostawiała tropy za sobą?

Czy może wybiła godzina światłości dla promienia idącego przez czerni międzygwiezdną, od bytu do bytu?

Czy wybiła godzina jaśnienia?...

Kapłan wznosił w górę białą dłoń, połyskliwą jak mewa na mroku. Gdzieś daleko, niewidzialna człowieczym oczom ukazała się na widnokręgu wyspa.

Dwaj młodzieńcy w białych tunikach pochylili się nad leżącym u stóp kapłana, marynarze spuścili zawieszoną z boku łódź. Gdy się zakołysała na falach, rozwinęto sznurową drabinę i zniesiono ciało zmarłego, czy zaśnionego, ostrożnie na dół, a młodzieńcy stanęli przy leżącym w głowach i u stóp jego, jako dwa cheruby pilnujące arki świętych tajemnic.

Ponownie zabłyśły na czarnym niebie białe ręce kapłana, tak białe i świecące, jakby promienna w nich krew płynęła... a łódź odbiła od okrętu.

Ślizgała się po ścichłym nagle morzu, które przyczaiło się w wielkim oczekiwaniu, a górą płynął hymn prastary powoli, majestatycznie, niewstrzymanie, zwycięsko.

—

Nad morzem na piaszczystym wybrzeżu jęczał pod razami człowiek.

Dwu tęgich oprawców smagało pletniami jego plecy, a smagając, szydzili:

– Masz oto proroku od wiernych swoich! Masz oto na pamiątkę od wielbicieli! Przyjmij, co dajemy wdzięcznym sercem!...

Ponoszący kaźń stał z otwartymi ustami, głową wstecz odwróconą, na poły przymknionymi⁴ oczyma i stękał głucho.

Zbudzony ze snu o ranku, po kilkudniowym więzieniu miał być wypuszczony, ale przedtem jeszcze wymierzono mu plagi.

Liczył je w duszy, nie wiedząc, na ile wyrok opiewa, liczył i wyczekiwał końca.

– Dwadzieścia jeden... aaach... dwadzieścia dwa... dwadzieścia trzy... Boże, Boże!... – szeptały zbielełe wargi.

Nagle osłabł, upadł na kolana, a głowa jego opadła na belek⁵ porzucony na piasku wybrzeża.

Posypały się pletnie na leżącego, ale on jeno⁶ na poły czuł ból.

Nagle światło jakieś zjawilo mu się pod powiekami.

Rozwarł oczy.

Hen tam daleko, na ciemnym morzu, pośród zwichrzonych fal, nie wiadomo skąd, nie wiadomo dokąd, płynął wielki okręt. Ciemny kontur, olbrzymią sylwetą odcinającą się na powietrzu brzeży a jasny nimb zaś na przednim pomoście jaśniała biała szata kapłańska i błyszcząły ręce wysoko wzniesione, błogosławione ręce, udzielające rozgrzeszenia.

Szeroko rozwartymi oczyma patrzył, patrzył, pił ten widok, nie rozumiejąc go wcale...

– Dwadzieścia siedem... dwadzieścia osiem... – liczyli oprawcy. Nie czuł wcale, dusza cała poszła ku zjawisku i pytała, idąc ku niemu:

– Ktoś ty?

⁴ *przymkniony* – przymknięty. [przypis edytorski]

⁵ *belek* – dziś r.ż.: belka. [przypis edytorski]

⁶ *jeno* (daw.) – tylko. [przypis edytorski]

A zjawisko odpowiadało głosem cichym, przekonywującym: „Pokój tobie, o tęskniący... pokój i cześć twemu bólowi, bowiem on ziszcza przyszłość... bowiem on mnie sprowadza, przeciągając mocą nieprzepartą z przestrzeni wszechświata”.

Ogromna radość zalała duszę udręczonego. Kwiat bólu począł śnić, iż wyda owoc czasu sobie właściwego, zawołały tedy usta: „Więc ty jesteś śmierć, wyzwolenie?”

A od okrętu wiatr poranny przyniósł tejże chwili cichy, spokoju dokonanego dzieła pełny akord:

„Oto bije godzina światłości dla promienia idącego ode mnie!

Oto utracony jest koniec śmierci, oto wieczyste zmiłowanie postawiło stopę na paszczy ciemności i zawarła się na wszystkie czasy...”

Tej samej chwili przybiła do piaszczystego brzegu łódź z zaśnieżonym człowiekiem.

– Czy kończyć? – pytał jeden oprawca drugiego, spoglądając na martwo leżące skazańca.

– Nie ma potrzeby... myślę. Chodźmy!

I poszli ku miastu.

—

Otoczyli go ludzie, domy, wszedł w życie zadziwiony i nierychło nauczył się nie okazywać zdumienia, jak to czynili inni. Tak mniemał bowiem, że wszyscy udają obojętność, będąc ciągle w duszy olśnionymi i zdumionymi tym, co umyślnie... może umyślnie.

Jestem! Cud wielki, niepojęty! Skąd wyszedł rozkaz: bądź! I oto jestem! Kto wydał rozkaz, kiedy i czemu? Oto pytania pierwszej wagi.

I ślubował sobie nie spocząć, dopóki tych pytań nie rozwiąże, czując słusznie, że niegodnym jest żyć, przyjmować gościny na ziemi, nie wylegitymowawszy się: jestem ten, a ten!

Ale gdy zwierzył się jednemu człowiekowi z tego postanowienia, ten roześmiał się i rzekł mu:

– Umrzesz tedy niebawem. Zamęczysz się.

Bardzo go to zmartwiło.

– Cóż tedy mam czynić? – spytał człowieka onego.

– Zapomnieć! – odparł tenże. – Zapomnieć albo...

– Albo co? – zagadnął chciwie.

– Albo przyjąć naukę.

– Jaką naukę?

– Jedną z wielu. Najlepiej przyjm naukę dnia, co płynie. Ona najlepiej zaśłania pytania wszelkie.

– Jakaż ona?

– Powiada: wyrosliśmy jako drzewa owe, z gleby ziemskiej powstaliśmy, jako wszystko powstaje z prochów przodków naszych. Należymy wszyscy do jednego bractwa nicości i przemijamy bez echa jak przemija ton trąby w lesie, jak mija kształt zasy śnieżnej pod promieniami wiosennego słońca.

– I to wystarcza? – zdziwił się.

– Naturalnie. Zwłaszcza gdy się tym człowiek przejmie od dziecka. To niezmiernie, uważasz, uspokaja, to jest społecznie bardzo pożyteczne, toteż król, pan nasz miłościwy, wydał edykt, mocą którego znosi się wszystkie uprzednie nauki, zakazuje się na razie wszelkich innych tłumaczeń zasadniczych zagadnień bytu... aż do dalszego rozporządzenia. Tak. To ostatnie zastrzeżenie wskazuje, jak bardzo jesteśmy postępowi, przezorni. Ustawa owa, którą ci przytoczyłem jest wynikiem unii zawartej pomiędzy kościołem naszym, który zarzucił dogmat władzy świeckiej i nauki... Wprawdzie nie ulega kwestii, że dla siebie... święte nasze kolegium kapłańskie posiada jeszcze inne jakieś tłumaczenia... Nie ulega kwestii, że są pewne domysły oparte na prastarych podaniach i rzekomo nawet doświadczeniach. Jeśli tedy masz ochotę, poznaj się z tymi rzeczami o ile zdołasz, ale przestrzegam cię, że zajmowanie się tym pociąga złe skutki, odbija się na karierze osobnika po prostu fatalnie... fatalnie... Oto weź na przykład, żebrak spod klasztoru WIELKIEGO MIŁOSIĘDZIA. Człowiek ten mógł zejść bardzo daleko... ale żegnaj mi! Widzę, że zbliża

się jego wysokość Przynagłacz Pracy. Zmykam! Zmykam, inaczej dostanę kreskę w KSIĘDZE SPRAWIEDLIWEJ OCENY.

—
Lubił przesiadywać nad morzem. Próżnował, jak mówili ludzie, po całych dniach i gapił się bez celu.

– Czemu? Czemu? – jęczała jego dusza. A w KSIĘDZE SPRAWIEDLIWEJ OCENY czerniło się od kresek na jego stronicy.

Często otaczali go ludzie. Przystąpił naprzód jeden i zagadnął:

– Nad czym to dumasz Istagogu? Powiedz.

– Nad daremnym, zabronionym pytaniem, Chloerze pracowity. Nad tym, kto wydał rozkaz, bym się stał, kiedy się to stało i czemu się stało?

Pracowity robotnik kiwnął smutnie głową i szeptał drugim, o czym duma Istagog, który myśli za ludzi.

Tak się zbierały czasem spore tłumy, pośród nich pojawiał się zaś niekiedy mądry Saceidos i wstąpiwszy na kamień jak i albo belek porzucony przez fale, mówił.

A mówił różnie. Czasem podawał w wątpliwość urzędowe tłumaczenie istnienia świata i ludzi. Czynił to w porze poobiedniej zwłaszcza, kiedy Wielki Przynagłacz pracy odprawiał swą sjęstę i w czasie takim rozwodził się szeroko, jakby ksiądz na kazalnicy. Często wśród przemowy urywał z nagłą, jakby coś chciał powiedzieć ważnego, coś co rozbija wszelkie wątpliwości, coś naocznego chciał przytoczyć, ale właśnie to najważniejsze nie mogło być widać wyrażone po ludzku, czy też nie było w jego duszy gotowe... dość, że w takich razach cichł nagle i znikał pomiędzy tłumem.

Częściej atoli Saceidos śpiewał tylko żałośliwie zwrócony ku morzu o nimfie tęsknocie, która wygnana z Przybytku Światłości nie mogła zapomnieć drogi do niego, może przez pomyłkę anioła wymierzającego karę, a może nawet umyślnie... może umyślnie.

Zgorzkniały, wielokrotnie karany chłostą i więzieniem za tłumaczenie niewytłumaczonego, Saceidos mniemał, że stało się to umyślnie, ze złośliwości jakiejś straszliwej, zaś wyrok opiewał: na całą wieczność!

Kiedy tak razu pewnego zebrany był tłum nad morzem, w dali ukazał się silny oddział żołnierzy. Stąpali rozgłośnie, nad ich głowami falował w wietrze proporzec królestwa, a od złotego jego ostrza spływała na dół czarna krepa.

Rycerstwo niosło zwłoki króla, który tej właśnie nocy zmarł ze starości. Umieszczone były w złotej łodzi krytej, blachą łuskową obitej i miały być wedle prastarego obyczaju puszczane na fale wraz z odpływem morza.

Na czele pochodu kroczyli biali młodziankowie, niewinni, prawie dziecięcego wieku, sposobiący się do tajemnic urzędu kapłańskiego, za nimi zaś połyskiwały rogata, w kształt półksiężycy wycięte czapki wtajemniczonych stróżów arki.

Pochód dotarł do wybrzeża, utworzono olbrzymie koło, pośrodku niego ustawiono na ziemi pogrzebną łódź i rozpoczął się uroczysty obrzęd.

Odplynieś oto zanim minie dzień i noc zapadnie,
Odplynieś jako kropla w wielki źródł wot swój,
Odplynieś jako kropla w wielki źródł
I spocznieś kędyś TAJEMNICY na dnie...

Tak zawodził chór śpiewaków.

Ledwo posłyszał te pierwsze słowa człowiek zwany przez tłum Istagogiem, zapadł w rozmyślanie tak głębokie, że nie widział już, co się koło niego dzieje.

Oto już w pierwszej zaraz strofie prastarego hymnu pogrzebnego bez trudu odnalazł on prostą, dziecięcą, nieprawdopodobnie prostą odpowiedź na pytanie dręczące od dawna nie tylko jego, nie

tylko jego... Wszakże każdemu zmarłemu, ten sam hymn nuconym jest od wieków... Czegóż tedy chce żebrak, za czym wzdycha tłum? Cóż zostaje z marnego oficjalnego tłumaczenia? Jedna strofa pieśni zwyciężyła całą, długą, forsowną pracę rozumu czy złej woli...

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «Литрес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на Литрес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.